DEKODER
W OBRONIE DEMOKRACJI

Numer 10 (56), Październik 2020

ISSN 2451-1269
Nakład: 7 tys. egz.
Czasopismo bezpłatne

Mamy w Europie narzędzie do badania poziomu zabezpieczenia prawnego i faktycznej realizacji praw osób LGBT – to ranking ILGA Europe, prowadzony przez unijną Agencję Praw Podstawowych. W zależności od tego, jakie miejsce zajmuje w nim dany kraj, obraz rzeczywistej sytuacji społecznej zamieszkujących go osób z mniejszości seksualnych rysować się może w lepszych lub gorszych barwach. Często niestety nie tęczowych. Tegoroczny trudno będzie nam nazwać optymistycznym – Polska jest obecnie najbardziej homofobicznym krajem w Unii Europejskiej, gdyż zajęła w nim dokładnie ostatnie miejsce wśród krajów UE. 16 proc. – tyle wynosi poziom równouprawnienia osób LGBT w naszym kraju. To jedno, ale warto podkreślić drugą ważną informację – tym razem na plus. Otóż na pierwszym miejscu rankingu – z wynikiem 89 proc. – znalazła się po raz kolejny katolicka Malta.

Wielkim źródłem homofobii jest Kościół Katolicki. Nie tylko poprzez swoje nauki, ale także aktywny udział w dyskryminacyjnej polityce rządu. Pan Prezydent umiejętnie straszy własnych obywateli „ideologią LGBT". Przykładem pozostaje złożony przez niego projekt konstytucyjnego zakazu adopcji dzieci przez pary jednopłciowe. Straszny i świadomie zastosowany gest, bez formalnego znaczenia, bo taka adopcja i tak w świetle polskiego prawa nie jest możliwa. Dodajmy do tego obrazu represje policyjne wobec aktywistek LGBT, które dokonują się na wyraźne, polityczne zamówienie. Równolegle w kościelnych parafiach zbierane są podpisy pod projektem ustawy „Stop LGBT" i pojedyncze akty odcinania się od tego przez kilku biskupów nie mają znaczenia wobec ogólnie przychylnej, oficjalnej postawy Episkopatu.

16 % CZŁOWIECZEŃSTWA

Można więc inaczej? Dziś w Polsce wydaje się to jednak coraz mniej możliwe. Aż 1/3 powierzchni kraju zajmują samorządy, które ogłosiły się „strefami wolnymi od ideologii LGBT", choć wiadomo, że nic takiego nie istnieje. Bezskutecznie przypomina się, że rzekoma ideologia to po prostu coraz bardziej przestraszeni ludzie! Po ulicach polskich miast krążą upiorne ciężarówki, które głoszą słowa nienawiści. Doskwiera dotkliwie prawna dyskryminacja związków jednopłciowych. Brakuje ochrony przed mową nienawiści i przestępstwami z nienawiści. Nie ma rzetelnej i legalnej edukacji seksualnej. Dzieci z rodzin jednopłciowych doświadczają dyskryminacji, niezależnie od własnej orientacji. Osoby LGBT stale narażone są na ataki słowne i fizyczne: nękanie w szkołach, wyzwiska, zaczepki. Codziennie dochodzi do pobić na ulicach!

Dlatego nie możemy milczeć. Nie wolno nam odwracać oczu od tego, co się dzieje. Warto brać udział w Marszach Równości organizowanych w coraz większej liczbie polskich miast. Żeby pokazać, że nie ma naszej zgody na państwową i kościelną homofobię. Jak powiedziała ostatnio Alina Szeptycka z wrocławskiego stowarzyszenia Kultura Równości, *prawa mniejszości to nie jest kwestia światopoglądowa, to nie jest „lewacka ideologia", to są po prostu prawa człowieka*. Przypomniało Polsce o tym również 50 ambasadorów i przedstawicieli organizacji międzynarodowych pisząc we wspólnym liście: *Prawa człowieka są uniwersalne i wszyscy, w tym osoby LGBTI, mają prawo w pełni z nich korzystać*. My również niestrudzenie pragniemy o tym głośno mówić i uparcie przypominać. Nasze miejsce jest po stronie słabszych.

Monika Piotrowska-Marchewa

NIE SZTUKA BYĆ OBOJĘTNYM

rozmowa z Maciejem Stuhrem

Czy doświadczenie związane z odbiorem w Polsce filmu „Pokłosie" nauczyło Pana czegoś szczególnego?
Maciej Stuhr: Chyba nie powiem niczego odkrywczego. Powtórzę frazę Wojciecha Młynarskiego: „róbmy swoje". Uświadomiłem sobie wtedy jeszcze mocniej, że są pewne sprawy i pewne tematy, które wymagają dyskusji i można się o nie spierać, mniej lub bardziej, ale nie robi się tego dla poklasku i aby wszystkim się to podobało. A raczej dlatego, że się czuje, że powinno się to zrobić. Jeśli chodzi o moją działkę, filmową i teatralną, są pewne tematy, które warto ludziom opowiedzieć. Niezależnie od tego, że cena za opowiedzenie takiej historii jak „Pokłosie" jest dość wysoka, co odczułem na własnej skórze…

Jak wysoka była to cena?
Utraty ogromnej części mojej widowni, więc dla artysty jedna z najwyższych. Mimo to, wciąż uważam, że z tą historią trzeba się było zmierzyć. Właściwie trzeba się zmagać z nią cały czas.

Czy to po tym filmie właśnie stanął Pan pierwszy raz twarzą w twarz z takim prawicowym hejtem, z tak uprawianą polityką?
Odnoszę raczej wrażenie, że w tamtym czasie zaczęło się po prostu intensywniej krystalizować, kto się uważa za tradycjonalistę, a kto by chciał zmieniać świat. Wcześniej były różne spory i różnice zdań, dyskusje, nawet kłótnie, ale nie miały aż tak mocnego charakteru. Tę nową jakość zademonstrowała nam w całej krasie właśnie druga dekada XXI wieku [premiera głośnego filmu Władysława Pasikowskiego miała miejsce w 2012 roku – dop. red.]. Od tamtego czasu nic już nie jest takie, jak było, w dyskusji publicznej. Z jednej strony było to dla mnie duże zaskoczenie, z drugiej – taki mocny obywatelski chrzest, który można było przejść lub nie. Zostać na bezpiecznych pozycjach i udawać, że pewne sprawy mnie nie interesują, że się w takie spory nie angażuję. Albo – twardo reprezentować swój światopogląd, artystycznie i obywatelsko go bronić. Wybrałem, jak wiadomo, tę drugą opcję, bo ona wydaje mi się bardziej istotna i ważna, nadająca sens wielu rzeczom, które robię w życiu.

Użył Pan podczas woodstockowej Akademii Sztuk Przepięknych sformułowania o „niewyparzonej gębie". To była bardziej recenzja Pana temperamentu, czy deklaracja, że odczuwa Pan obowiązek zabierania głosu w ważnych ideowo i politycznie sprawach?
Specjalnie się nad tym nie zastanawiam… Po prostu jeżeli czuję, że trzeba coś powiedzieć, to mówię to, nawet jeżeli koszt jest dość wysoki – w tym sensie stwierdziłem, że mam „niewyparzoną gębę", i pewnie jest to temperamentem powodowane. Ale jednocześnie uważam się za osobę niezwykle spokojną, nawet jeśli lubię opowiadać żarty, i wtedy temperament również ujawniam. Więcej – przez pół życia uważałem się za człowieka środka! Starałem się słuchać w każdym sporze racji obu stron i nadal to próbuję robić, ale…

Jest teraz trudniej ?
Jest inaczej. Osobiście uważam, że nie da się być dziś człowiekiem środka, czyli takim, jakim próbowałem być przez pół życia. Przyszły takie czasy, że nie można udawać, że „mnie to nie dotyczy", i że „prawda leży gdzieś po środku". Raczej powtórzę za profesorem Bartoszewskim, że prawda leży tam, gdzie leży, a nie pośrodku.

Dziękuję Panu za te słowa, bo my kontynuując działalność opozycyjną, pozaparlamentarną, na ulicy, też różne ceny płacimy za to, że tam jesteśmy...
Domyślam się.

I takie słowa są nam bardzo potrzebne. A jak jest z ludźmi sztuki? Czy w tych nowych czasach polityka zatruła relacje między nimi? Czy wyraziste poglądy skazują na ostracyzm w Pana środowisku?
Jeśli o nie chodzi, jest ono wyjątkowo jednolite i jednorodne. Prawicy marzyłaby się wymiana elit kulturalnych, tylko mimo upływu lat nie widać, kto miałby te filmy kręcić, kto by miał tworzyć sztukę nowoczesną, kto by miał pisać te prawicowe książki. Oczywiście są tacy, tylko sztuka ma to do siebie, że wymaga odbiorcy. Nikt na siłę ludzi do kin nie przyciągnie, ani do teatru. Ludzie będą chcieli oglądać to, co jest po prostu dobre. Szczerze mówiąc, w moim środowisku – a znam sporą jego część – z rozmów i obserwacji szacuję, że około dziewięćdziesiąt procent opowiada się za słabszymi, za ludźmi, którzy mają trudniej dzisiaj, za mniejszościami, za uchodźcami, za wszystkimi którym większość próbuje narzucić swoją wolę… To jest zresztą naturalna pozycja i rola artystów, że się ujmują za tymi, którzy tej pomocy potrzebują. W tym sensie wydaje mi się, że jesteśmy środowiskiem dość wyjątkowym. Myślę, że w innych – jest trochę więcej tych podziałów.

I mniej lewicowej wrażliwości?
W ideę sztuki jest wpisana pewna część postulatów lewicowych, co nie znaczy, że jesteśmy tubą lewicy – o to tutaj w ogóle nie chodzi, bo często nie jesteśmy wcale wyborcami lewicy. Natomiast to spoglądanie w stronę słabszych, pokrzywdzonych i tych, którzy cierpią z powodu dyktatu większości jest naturalnym odruchem artysty. Podejrzewam, że tutaj rządzący będą mieli kłopot, żeby wytworzyć sztucznie i odgórnie nowa elitę kulturalną, bo to się nie dzieje za sprawą dekretu.

Maciej Stuhr na Przystanku Woodstock, 2016. Fot. Ralf Lotys, źródło: Wikipedia.

Można powiedzieć, ze władza próbuje Państwu nakładać kaganiec. Czy widzi Pan więcej autocenzury wśród kolegów i koleżanek?
Różnie z tym bywa. Autocenzura to jest dobre słowo. Bo oczywiście nie mamy, jak w PRL-u urzędu, który by cenzurował, ale wiadomo, że pewne osoby, pewne nazwiska, jeżeli się zaangażują w jakieś społeczne sprawy, niektóre drzwi sobie zamkną. I zwłaszcza, podejrzewam, jest to dylemat młodych artystów, którzy dopiero chcą zdobywać świat… Może tak być. Zwłaszcza w środowisku tych młodych wymaga to niesamowitej odwagi. Kiedy jeszcze się niewiele osiągnęło, a staje się przed dylematem, czy wchodzić w komitywę z diabłem, czy nie.

Pojawia się kwestia ceny?
W niektórych obszarach tak zwanego szołbiznesu – jak sama nazwa wskazuje – wchodzi w grę biznes, czyli pieniądze. A biznesu nie da się uprawiać wbrew polityce – on zawsze jest zanurzony w jakiejś sytuacji politycznej. Im jest większy, tym będzie ostrożniejszy, żeby władzy nie podpaść, bo będzie się gorzej kręcił. I w efekcie w niektórych korporacjach, stacjach telewizyjnych, czy produkcjach istnieje pewnego rodzaju obawa, żeby chuchać na zimne. I rzeczywiście spotykam się jako aktor czy jako konferansjer, z wielkimi obawami, czy ja czegoś nie chlapnę, nie zażartuję, i wtedy nie tylko mnie się oberwie, ale także tym, którzy dają na to pieniądze. Ten rodzaj cenzury, takiego strachu, żeby tylko komuś nie podpaść, szaleje w tej chwili w Polsce. I wie Pani, bo to chcę podkreślić – to jest coś zupełnie nowego! Tego nigdy nie było. Można było śmiać się z Tuska, z Kwaśniewskiego, można było robić skecze na ten temat i nikt się nie bał, że mogą być jakieś tego konsekwencje. W tej chwili strach jest ogromny.

Powrócę jeszcze na koniec do energii społecznej, jakiej byliśmy świadkami w ciągu ostatnich pięciu lat. Był Pan bardziej obserwatorem czy uczestnikiem manifestacji prodemokratycznych? Czy warto tę energię utrzymywać?
Trzeba! Chodziłem na manifestacje z potrzeby serca, ale i z ciekawości, jaka ta energia społeczna jest na ulicy – w czasie walki o ustawy sądowe w 2017 roku wychodziliśmy co parę dni – natomiast warto też patrzeć, jak się zmienia świat, gdzie w tej chwili kumuluje się ludzka energia i nie wolno się na to obrażać. To, że nie ma nas milionów na ulicach – o czymś po prostu świadczy i trzeba z tego wyciągnąć wnioski. Możemy się przecież albo na tę „bierność" obrazić, albo poszukać nowych środków wyrazu – przecież coraz więcej naszej rzeczywistości dzieje się w Internecie i tam kumulują się również ludzkie emocje, w tym protesty. Są bardzo chaotyczne, pełne czasem nadmiernych emocji i jeszcze nie umiemy ich skupić, nie umiemy wykorzystać tego Internetu, żeby jak soczewka skoncentrować promień tych emocji. A to jest zadanie dla tych, którzy pragną większych zmian – wymyślić taki sposób, żeby je umieć ogarnąć. Nie spodziewać się, że tu w Polsce…

Powtórzą się obrazy z dzisiejszej Białorusi...
Tak, albo z naszej historii, sprzed 30-40 lat… To są inne czasy i trzeba znaleźć na nie nowy pomysł.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Monika Piotrowska-Marchewa

DO ZJADANIA I DO KOCHANIA

Sejm uchwalił nowelę ustawy o ochronie zwierząt, która między innymi zakazuje hodowli zwierząt na futra i wprowadza ograniczenia uboju rytualnego oraz trzymania zwierząt na uwięzi. Czy jest ważna? Na pewno! Czy coś zmienia w sytuacji zwierząt hodowlanych? Niekoniecznie.

Pierwszy przemysłowy zakład „przetwórstwa mięsnego" (czyli zmechanizowana rzeźnia) powstał w latach 20. XIX wieku w północnoamerykańskim Cincinnati. Kolejny otwarto chwilę potem w Chicago. Wykwalifikowanych rzeźników zastąpili pracownicy specjalizujący się w poszczególnych zadaniach: upuszczaniu krwi, obcinaniu ogonów i nóg, skalpowaniu, dzielenia półtusz, itd. Wprowadzono linię produkcyjną taką, jaka później powstała w fabrykach samochodów Henry'ego Forda, który zapoczątkował rewolucję w przemyśle.

Od 1908 r. w rzeźniach stosuje się rozwiązania technologiczne pozwalające menadżerom na regulowanie linii produkcyjnych. Przez kolejnych 80 lat szybkość tych linii nieustannie rosła i zwiększyła się nawet trzykrotnie, co w efekcie doprowadziło do nadwyrężania pracowników. A co ze zwierzętami hodowlanymi?

Coraz szybsza produkcja

Dzięki technologicznym sztuczkom udało się zmniejszyć koszty produkcji mięsa, mleka i jajek. Biorąc pod uwagę inflację produkty te nigdy nie kosztowały tak mało jak dziś. Znaczący jest fakt, że większość wszystkich gatunków hodowanych na mięso, mleko i jaja jest przetrzymywana w zakładach chowu przemysłowego: 99 proc. brojlerów, 97 proc. kur niosek, 95 proc. świń i 78 proc. bydła.

Typowa klatka dla kur niosek ma powierzchnię 0,04m^2 na jedną kurę – to trochę mniej niż kartka A4. Klatki stawia się jedna na drugiej. Zwykle układa od 3 do 9 warstw. Często hoduje się je w hangarach pozbawionych okien. Następnie odcina się ptakom dopływ światła na całe dnie, podając im jednocześnie przez dwa-trzy tygodnie niskobiałkowe, głodowe porcje paszy. Potem włącza się światło na 16-20 godzin dziennie i podaje wysokobiałkowy pokarm, żeby myślały, że jest wiosna. Od razu zaczynają znosić jajka. Manipulując światłem i dietą możemy sprawić, że drób będzie znosił jajka przez cały rok. Na fermie indyczka składa rocznie około 120 jaj, a kura – ponad 300. W naturze liczby te byłyby dwukrotnie mniejsze.

Fermy drobiu w Brazylii. Źródło: Wikipedia

Pod względem ilości miejsca sytuacja brojlerów, czyli kurczaków przeznaczonych na mięso, jest nieco lepsza – na jednego przypada aż 0,2m^2 powierzchni. Brojlery to mięso. Ostatnie dziesięciolecia doboru sztucznego i inżynierii genetycznej sprawiły, że osiągają dwa razy większe rozmiary w dwa razy krótszym czasie. Wskaźnik dziennego wzrostu brojlerów skoczył o 400 proc. Kury, które mogą żyć nawet do 20 lat, dzisiaj zabija się już po 6 tygodniach. Z powodu przyrostu masy ciała w tak krótkim czasie często łamią sobie po prostu nogi. Je też hoduje się w hangarach pozbawionych okien, na ogromnych powierzchniach, gdzie zadeptują się wzajemnie i umierają z powodu chorób zakaźnych – ginie z ich powodu nawet 20 proc. stada, czyli co piąty kurczak. Hodowcy wliczają to w koszty.

Skoro przemysł mięsny działa tak sprawnie, te koszmarne warunki świadczą o tym, że z naszym światem wartości coś jest nie tak. W UE w takich warunkach hoduje się 6 mld kurczaków rocznie, w USA – ponad 9 mld, a w Chinach – ponad 7. W sumie na świecie hoduje się na fermach w ten sposób około 50 mld kurczaków. Tyle samych kurczaków, a przecież pozostaje jeszcze los świń i bydła – równie okrutny i straszny. Pomimo nowych trendów w technologii produkcji mięsa, sytuacja zwierząt trzymanych w zakładach chowu przemysłowego nie zmieniła się na lepsze.

Komu pomoże ustawa?

Ustawa, przegłosowana niedawno przez Sejm, ma m.in. polepszyć los zwierząt łańcuchowych, czyli psów. Psy są wspaniałe i pod wieloma względami bardzo mądre. Świnie też są mądre i też czują. Nie potrafią wprawdzie wskakiwać do bagażnika, ale potrafią aportować, bawić się, psocić i odwzajemniać uczucia. Dlaczego więc, zamiast karmić je przysmakami i uczyć aportowania, nadziewamy je na ruszt? Francuzi, którzy kochają psy, jedzą konie (Polacy zresztą także, choć w mniejszej skali). Hiszpanie, którzy kochają konie i nie jedzą koniny, jedzą krowy. Hindusi, którzy czczą krowy, jedzą psy. Ta wybiórcza miłość do zwierząt bierze się z naszych niespójnych wyobrażeń o naturze.

Zwierzęta hodowlane stanowią 99 proc. wszystkich zwierząt, z którymi mieszkańcy naszego kraju mają bezpośredni kontakt. To nasze wybory żywieniowe w największym stopniu przyczyniają się do cierpienia stworzeń, do zmniejszenia bioróżnorodności i do zachwiania zależności międzygatunkowych. Wybierając jedzenie mięsa powodujemy najwięcej cierpienia. Czym jest cierpienie? Najważniejszą kwestią jest tu podmiot, do którego cierpienie się odnosi. Z jednej strony zakłada się, że zwierzęta hodowlane odczuwają ból, a z drugiej zaś odmawia im „podmiotowości", czyli nie rozpatruje ich cierpienia w sposób analogiczny do cierpienia ludzi.

Tekst powstał na podstawie książki Jonathana Safrana Foera, *Zjadanie zwierząt* (przekł. Dominika Dymińska), Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2013.

Wynika z tego ważny wniosek: panuje powszechne przekonanie, że krzywda wyrządzana zwierzęciu ma inny wymiar, jest więc wybaczalna i mało znacząca.

Dlatego większość ludzi uważa jedzenie mięsa za coś całkowicie normalnego (kiedyś większość ludzi uważała trzymanie niewolników za coś całkowicie normalnego). Mięso syci i jest smaczne. Tak, czy inaczej, jedzenie mięsa zawsze wiąże się z cierpieniem. By to zatuszować trzeba było wymyślić wszystkie te historie o „wszechżerności człowieka" i „odwiecznych prawach natury". Okrucieństwo natomiast wobec zwierząt hodowlanych, jakiego cały czas się dopuszczamy, funkcjonuje nieustannie w kategoriach abstrakcji.

DWŻ

Szkoła w czasach pandemii

Szkolna rzeczywistość to obecnie taki stan zawieszenia pomiędzy różnymi oczekiwaniami nie do pogodzenia/zrealizowania. Większość rodziców nawet nie chce myśleć o nauce zdalnej, inni się boją i monitorują do przesady przestrzeganie reżimów sanitarnych w szkołach, jeszcze inni wypierają istnienie zagrożenia, utrudniając tym samym przestrzeganie szkolnych procedur bezpieczeństwa przez ich własne dzieci. Nauczyciele bez większych sukcesów poszukują „bezkontaktowych" metod nauczania i to zarówno na linii uczeń-uczeń jak i uczeń-nauczyciel. Za funkcjonowanie szkół odpowiada dyrektor, któremu dość mocno ograniczono decyzyjność. Musi się podporządkować decyzjom sanepidu. Z kolei ten lokalny słucha zaleceń władz zwierzchnich. Coraz częściej słyszymy, że szkoły to bomby z opóźnionym zapłonem. I chociaż niektóre zaczynają już wybuchać, niewiele słychać o przygotowaniach do ewentualnej nauki zdalnej.

Okiem uczennicy

Budzę się w poniedziałek rano i pierwsze co robię, to sprawdzam Librusa. Nie dlatego, że tak bardzo interesują mnie nowo dodane oceny czy dopisane przez weekend sprawdziany i kartkówki. Powód jest nieco inny. Jaki? Ano taki, że w każdej chwili mogę dowiedzieć się, że trafiam na kwarantannę.

W mojej szkole uczy się łącznie 28 klas. Każda z nich liczy średnio 30 osób. Niby nie jest źle, bo mamy dwa budynki. Zabawa zaczyna się wraz z wybrzmieniem dzwonka na przerwę i masowymi migracjami z sal lekcyjnych na korytarz. Wtedy robi się nawet coś na wzór imprezy towarzyskiej na około 450 osób, bo nie dość, że przytulamy się i ocieramy o siebie, to jeszcze potykamy się o własne nogi w rytm muzyki puszczanej z radiowęzła. Oczywiście o bezpiecznych odległościach nie ma mowy, choćbyśmy się starali, nie ma szans. No cóż, ale przynajmniej mamy maseczki.

Na korytarzach stanęły kanapy z wygodnymi poduszkami. To znaczy – wyglądającymi na wygodne. Jakie są w rzeczywistości? Nie wiemy. Nie można z nich korzystać, bo koronawirus. Po 10 minutach bezpiecznego siedzenia na parapecie wracamy do sal – do ławek i krzeseł, na których zaledwie 10 minut wcześniej mógł siedzieć potencjalny zakażony.

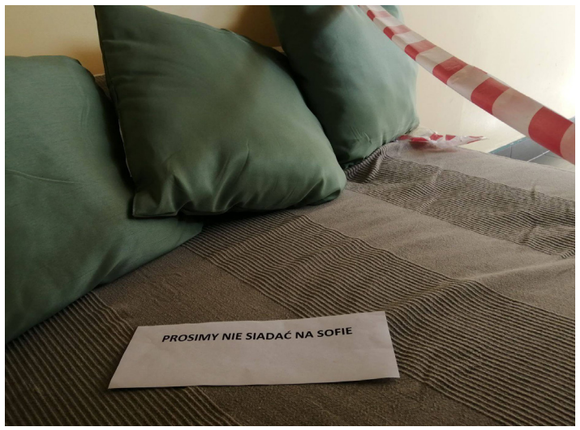

Nikt ich na przerwie nie dezynfekował. Ale – jak to mówi popularny żart z Facebooka – koronawirus na lekcję nie wejdzie, bo to nie jego klasa. I tego się trzymajmy.

A my na lekcje jak najbardziej chodzimy. W różnych salach, z różnymi nauczycielami i w różnych grupach. Skąd ta różnorodność? Lekcja geografii, na niej uczniowie i uczennice klas 3d i 3o. W tym samym czasie kilka osób z klasy 3d ma fizykę z klasą 3c, biologię z bodajże 3b albo historię z przedstawicielami każdej z klas maturalnych. Po dwóch godzinach zmiana: jedni idą na matematykę z klasą 3f, inni na geografię z 3a. A ja na przykład mam WOS w siedemnastoosobowej grupie złożonej z uczniów klas 3b, 3c, 3d, 3e, 3f i 3o. Kilkanaście osób z mojej klasy ma wtedy polski z 3e albo chemię z 3o. Dla tych, którzy nie nadążają bądź nie do końca ogarniają taki system, tłumaczę: każdy z przedmiotów rozszerzonych mamy w zupełnie innej grupie. To nie brzmi jak ograniczony kontakt między uczniami i uczennicami różnych klas. To brzmi jak jedno wielkie korona-party.

Warto też wspomnieć o tym, że jak siedzę w ławce z Martyną i przepisujemy notatkę z tablicy, to nie musimy mieć maseczki, ale jak już układamy dialog w parach, to koronawirus nagle staje się realnym zagrożeniem. A kiedy chcemy grać w koszykówkę na WF-ie, to możemy tylko na boisku, bo tam już się nie zaraża i gry kontaktowe są bezpieczne.

A w tym całym pandemicznym bałaganie szkoły dostały jeszcze mniej funduszy niż zwykle. O zajęciach dodatkowych można zapomnieć. Co z przygotowaniem do matury? Po prawie 4 miesiącach edukacji zdalnej są niezbędne. Czy będą na nie pieniądze? Pani od niemieckiego mówi: zobaczymy. A z panem od filozofii już zobaczyliśmy. Albo dla idei, albo wcale. Pieniędzy nie ma. Są ważniejsze sprawy niż edukacja. Są ważniejsze wydatki niż szkoła. Jak zawsze.

Wiktoria Korzecka

Okiem nauczycielki

W mojej szkole (średniej) jest około 40. sal lekcyjnych. Zajęcia odbywają się w godz. 7.30 – 19.45, a krótkie przerwy trwają 5 minut. Sporo zajęć odbywa się w pracowniach specjalistycznych. Nie da się ułożyć planu tak, aby uczniowie konkretnej klasy nie zmieniali gabinetów. Nie ma też możliwości, aby w takim systemie obsługa szkoły dezynfekowała powierzchnie przed każdym wejściem nowych uczniów do danej sali lekcyjnej. Ale w każdej klasie stoi odpowiedni płyn do oczyszczenia powierzchni oraz inny – do rąk.

Zapisaliśmy w procedurach, że dyżurni po zakończeniu zajęć w danej sali dezynfekują blaty ławek. Nic wielkiego – jedna osoba spryskuje blaty, druga wyciera papierowym ręcznikiem. Dzięki temu zapewniamy bezpieczeństwo kolejnej grupie, która wchodzi na zajęcia. Nauczyciele i obsługa dbają o wietrzenie sal i korytarzy. Wszystkich obowiązuje też zakrywanie ust i nosa w przestrzeniach wspólnych. Aby młodzież była bezpieczniejsza, pani dyrektor poprosiła, aby w miarę możliwości pozwalać uczniom na zjedzenie posiłku podczas lekcji. W moim odczuciu wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za zdrowie każdego członka naszej społeczności, a przy okazji staramy się nauczyć tej odpowiedzialności młodych ludzi. To nie są już kilkuletnie dzieci, a młodzież w wieku 15 – 19 lat. To szczególnie ważne, zwłaszcza, że szkoła przygotowuje do zawodów usługowych. Tymczasem nie wszyscy rodzice zgadzają się, aby ich dziecko dezynfekowało blaty, nie wszyscy są też zadowoleni z obowiązku noszenia maseczek/przyłbic. Ponadto, dość często maseczki noszone są w sposób niedbały, niestety, także przez pracowników szkoły.

Kolejnym problemem, i to zarówno wśród uczniów jak i nauczycieli, jest przychodzenie do szkoły z infekcjami. Do tej pory, to praktycznie była norma. Teraz mamy izolatorium i zakaz wchodzenia do szkoły z infekcją. Trudno ocenić, czy rzeczywiście ktoś ma alergię, czy też zaczyna mu się rozwijać jakaś choroba. Dodatkowo niektórzy uczniowie nadużywają usprawiedliwień. Ale nad tym już trudno zapanować. Musimy liczyć na wsparcie ze strony rodziców.

W każdym razie efekt jest taki, że każdorazowo nie ma sporej liczby uczniów na zajęciach. A będzie gorzej, bo wchodzimy w okres jesienno-zimowych infekcji.

Zatem niby jest dobrze – mniej uczniów w klasie, takie nauczanie hybrydowe „na niby", bo nauczyciele uczą obecnych, a Ci nieobecni muszą uczyć się i nadrabiać zaległości sami. Jako nauczycielka wiem, że bez dodatkowego wsparcia, przeciętny uczeń może nie podołać.

Tymczasem minister oświaty i kuratorzy zapewniają, że nauka odbywa się bez problemów i że w ogóle wszystko jest pięknie. Przecież szkoły otrzymały płyny odkażające i zapas mydła, ale że liczba umywalek jest żenująco niska, nikt jakoś o tym nie wspomina. Nie dostrzegł także problemu sanepid, gdy stwierdzono zakażenie koronawirusem u nauczycielki WF-u w jednej z wrocławskich szkół. Bo przecież większość zajęć odbywa ona na zewnątrz, jest więc spora szansa, że nikogo nie zaraziła (koleżanki z pokoju nauczycielskiego pewnie się nie liczą). Ile jest takich szkół? Najważniejsze, że mamy procedury, a w dzienniku zapisywane są kolejne tematy. Codziennie przybywa nowych zakażeń i nowych wakatów, a my czujemy się jak podczas gry w rosyjską ruletkę.

Elżbieta Majewska-Cieśla

Historia lubi się powtarzać

SUKCESJA NA SZCZYTACH WŁADZY

Rok 211 naszej ery. Zamknięte w porfirowej urnie prochy cesarza Septymiusza Sewera przemierzają imperium od Eburakum (dzisiejszy York), gdzie cesarz zmarł, do samego Rzymu. Odprowadzali je synowie i następcy zmarłego władcy – starszy Septymiusz Basjan, zwany Karakallą i młodszy Septymiusz Geta. Umierający cesarz przekazał im równorzędną władzę i tytuły nakazując im zgodę i wspólne działanie na rzecz państwa. Nie było to jednak możliwe, gdyż bracia nienawidzili się serdecznie. Jedyną zgodną ich decyzją było porzucenie planu podboju Kaledonii (Szkocji) i powrót do Rzymu. Tam młodzi cesarze zajęli dwa skrzydła pałacu cesarskiego i każdy z nich wystawił swoje straże. Całe miasto żyło teraz sporem pomiędzy nimi – każdy mieszkaniec musiał opowiedzieć się po stronie któregoś z braci. Pojawił się wprawdzie pomysł podzielenia władzy terytorialnie, jednak nie zgodziła się na to Julia Domna – ich matka. Zapytała, czy ją też planują podzielić między siebie, jak ojczyznę? Konflikt był więc nieunikniony. Rzymem targały starcia zwolenników jednego i drugiego cesarza, ale szala sympatii przechylała się na rzecz młodszego i spokojniejszego Gety. Przerażony tym obrotem spraw starszy z braci zaproponował zawieszenie broni i spotkanie sam na sam w komnatach matki. Gdy do niego doszło okazało się, że zdradził brata – pojawił się z uzbrojonymi żołnierzami, którzy zabili Getę raniąc przy tym Julię, próbującą ratować syna.

Portret rodziny cesarskiej Septymiusza Sewera. Twarz Gety została pośmiertnie wymazana z rozkazu brata.
Fot. José Luiz Bernardes Ribeiro. Źródło: Wikipedia

Zwycięski Karakalla ogłosił, że brat chciał go zabić i nakazał świętować własne, cudowne ocalenie. Nawet matce nie wolno było nosić żałoby po synu, a w stolicy rozpoczęły się wielkie prześladowania zwolenników zamordowanego Gety. Rzym znów miał jednego pana i władcę – despotycznego Karakallę.

Choć od czasów cesarstwa rzymskiego wiele wody upłynęło w Tybrze, rozgrywki o władzę wciąż wzbudzają zainteresowanie, ale też i obawy. Nie inaczej jest i nad Wisłą, gdzie obecnie toczy się gra o następstwo po starzejącym się przywódcy.

Formalnie wrześniowy kryzys w obozie władzy został zażegnany i nowa-stara umowa koalicyjna została podpisana, choć opinia publiczna może się tylko domyślać treści porozumienia. Jarosław Kaczyński, Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin, jako szefowie koalicyjnych partii mają zostać wicepremierami. Teoretycznie? – pełen harmonii układ, choć nie było zwyczajowych uścisków dłoni. W praktyce? – jest to tylko próba podtrzymania stanu, który zawiera w sobie sprzeczności nie do pogodzenia. Dziś wszyscy mieli za dużo do stracenia, więc licytację przerwano, ale co nieco o kulisach negocjacji się dowiedzieliśmy.

Ciekawą wiadomością podzielił się wiceminister sprawiedliwości, Sebastian Kaleta – wg raportu sporządzonego na potrzeby negocjacji, Solidarna Polska posiada najmniej przedstawicieli w spółkach Skarbu Państwa. Niby podkreślenie skromności, a realnie – przyznanie o co w negocjacjach koalicyjnych chodzi. Komu więc przypadnie teraz więcej stanowisk według nowej umowy?

Symptomatyczne były również negocjacje w sprawie ustawy „bezkarność plus" – raz koalicjanci oskarżali się wzajemnie zarzucając autorstwo nowych przepisów partnerom, innym razem zapewniali, że nikt nie jest przeciw. Co ciekawe, politycy PiS bez zażenowania odpowiadali na pytania dziennikarzy nie reagując na obiegową nazwę ustawy. Nikt się już nie kryje z tym, że o bezkarność polityków właśnie chodzi.

I pomysł najważniejszy – wejście Jarosława Kaczyńskiego do rządu. Od dawna zabiegał o to Zbigniew Ziobro, który chciał, by lider PiS stanął na czele gabinetu – wówczas on w randze wicepremiera mógłby znów być poczytywany za następcę, a znienawidzony Morawiecki nie byłby jego przełożonym. Sukces okazał się jednak połowiczny. Kaczyński wprawdzie w rządzie będzie i będzie przełożonym Ziobry, ale (przynajmniej formalnie) Morawiecki zachowuje tekę premiera. Nie o to więc ministrowi sprawiedliwości chodziło. Z drugiej strony i Morawiecki nie ma powodu do radości. Wprawdzie wciąż faktycznie jest następcą i zachował swoją pozycję, ale mając Kaczyńskiego u boku, w rządzie, automatycznie znajdzie się w jego cieniu. A cień nie buduje autorytetu w partii. Wątła pozycja premiera opiera się więc bardziej niż kiedykolwiek na autorytecie Kaczyńskiego.

Największą przegraną porozumienia jest wicepremier Emilewicz, która mimo dochowanej wodzowi wierności nie zdołała zachować stanowiska w nowej politycznej układance. Ale cóż mogła zaoferować prócz swojego głosu w sprawie ustawy futerkowej? W polityce liczy się realna siła. Mniej lojalny Ziobro nie został z rządu wyrzucony, bo dysponuje 19 głosami swojej partii. Nie oznacza to jednak, że może spać spokojnie.

Do starcia nie dojdzie tylko do czasu, gdy któraś ze stron nie uzna, że ma szansę zmienić układ sił. Wówczas pretorianie każdego z następców staną do walki na całego i nie skończy się tylko na barwnych epitetach, jakimi obrzucali się ostatnio przedstawiciele każdej z partii. A do starcia dojść musi, bo Ziobro z Morawieckim szczerze wzajemnie się nienawidzą. Nie może być zresztą inaczej, skoro jeden z nich jest byłym, a drugi obecnym „delfinem" Kaczyńskiego. Ziobro zresztą chciał wrócić w pełni do łask prezesa i po wyborach parlamentarnych 2019 roku zaproponował wejście Solidarnej Polski do PiS – prezes odmówił. Ponownie propozycja padła na wiosnę tego roku – i ponownie spotkała się z odmową Kaczyńskiego. Może się wydawać dziwne, że prezes nie chce wzmocnić szeregów swojej partii, ale stary przywódca wie czym to pachnie. Ponowne „usynowienie" Ziobry i przyjęcie go na łono partii pozwoliłoby mu realnie zawalczyć z Morawieckim o przywództwo. Dopóki jest w formacji „sojuszniczej" łatwiej go kontrolować. Choć i to jest coraz trudniejsze, stąd manewr z wejściem Jarosława do rządu. Czy udany? Czas pokaże, ale historia mówi jasno, że sukcesja nigdy nie przebiega spokojnie, gdy do schedy po ustępującym władcy rości sobie prawo więcej niż jeden kandydat.

Maciej Pokrzywa

W nowym układzie rządowym Mateusz Morawiecki jest zwierzchnikiem Jarosława Kaczyńskiego jako premier i jednocześnie jego podwładnym, jako członek partii. Zbigniewa Ziobro ma kontrolować w teorii premier, ale jednocześnie Kaczyński, jako specjalny zwierzchnik kilku ministerstw. Ziobro będąc nadal Prokuratorem Generalnym ma wciąż teoretyczną możliwość szachowania zarówno Kaczyńskiego, jak i Morawieckiego...

Fot. Wikipedia

GDZIE BYLIŚMY, GDY TO TRWAŁO?

O TUSZOWANIU, LEKCEWAŻENIU I IGNOROWANIU GWAŁTÓW I MOLESTOWANIA

Znaki ostrzegawcze pojawiły się już wcześniej. Jeszcze przed upublicznieniem słynnych taśm, na których przyszły prezydent Donald Trump opowiada o swoich seksualnych zdobyczach, pojawiły się oskarżenia o napaści seksualne pod adresem Billa Cosby'ego. W lipcu 2016 r. była komentatorka Fox News, Gretchen Carlson, wniosła oskarżenie o molestowanie przeciw szefowi tej sieci, Rogerowi Ailesowi. Wkrótce po wyemitowaniu nagrania z Trumpem w przynajmniej 15 miastach kobiety zorganizowały protesty i marsze protestacyjne. Równolegle pojawił się hasztag #WomenDontReport (kobiety nie zgłaszają), który najlepiej tłumaczy historia aktorki Rose McGowan: *Adwokatka od spraw kryminalnych powiedziała, że ponieważ w filmie miałam scenę seksu, nigdy nie wygram z szefem studia* – napisała na Twitterze aktorka. Jak wszyscy pamiętamy, aferę taśmową z Trumpem umiejętnie wyciszono, co de facto pozwoliło mu wygrać wybory prezydenckie.

Duże znaczenie miał w tym wyciszaniu pakt, jaki przyszły prezydent zawarł z brukowcami, które epatowały plotkami na temat Hillary Clinton, milczały zaś na temat taśm z seksaferą.

Działo się to w czasach, gdy amerykańskie korporacje notorycznie miewały na liście płac człowieka, którego formalny zakres obowiązków zaledwie maskował prawdziwe zadanie, polegające na stręczeniu kobiet szefowi.

Strach przed potężnym W.

Takiego człowieka na liście płac miał też słynny, amerykański producent filmowy, Harvey Weinstein. Miał też podpisany pakt z brukowcami, które – w przypadku, gdy ofiara decydowała się oddać sprawę na policję – zaczynały grzebać w jej prywatnym życiu i dyskredytować ją, jednocześnie nie nagłaśniając sprawy z przymuszaniem do seksu. Dziennikarze zaś, którzy brali stronę ofiary byli zastraszani i szantażowani. Łatwość, z jaką to wszystko się odbywało, świadczyła o tym, że mieliśmy do czynienia z pewnym wzorcem, który od lat funkcjonował w Hollywood.

Było to możliwe ze względu na fakt, iż Weinstein był po uszy uwikłany w politykę. W latach 1999-2017 on i jego firma dotowali co najmniej trzynastu nowojorskich polityków lub popierające ich komitety polityczne. Głównie byli to demokraci, ale też niektórzy republikanie jak np. George Pataki. Weinstein był też hojny dla senator Kristen Gillibrand, prokuratora generalnego Erica Schneidermana, czy gubernatora Andrew Cuoma.

Trudno więc się dziwić, że tym czasie Weinstein był praktycznie bezkarny. Sieć jego wpływów rozszerzała się i choć wszyscy w Hollywood wiedzieli, że molestuje kobiety, byli zbyt uwikłani w układy z nim, lub zbyt przerażeni przez zastraszanie, by głośno protestować. Ofiary, bojąc się odwetu i z powodu traumy – także milczały. Niektóre z nich przekupiono pieniędzmi i podpisywały ugody zmuszające je do milczenia.

Właściwie nie miały wyjścia, zważywszy, że na usługach Weinsteina była prywatna agencja detektywistyczna Black Cube, mająca ponad stu świetnie wyszkolonych agentów operacyjnych, posługujących się 30 językami, z biurami w Paryżu, Londynie, czy Tel Awiwie. Granica między Black Cube a izraelskim aparatem wywiadowczym była bardzo cienka, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że ta prywatna przecież agencja była w Izraelu dostawcą informacji dla najważniejszych urzędów i ministerstw rządowych. To były premier Izraela Ehud Barak polecił Weinsteinowi usługi Black Cube.

Agencja miała w kontrakcie z Weinsteinem zapewnić dostarczenie danych wywiadowczych, które wspomogą Weinsteina w jego staraniach o całkowite wstrzymanie nieprzychylnych publikacji, jak również pozyskanie dodatkowych treści z książki, która była w trakcie pisania i zawierała negatywne, szkodliwe dla producenta informacje. To chyba dobitnie pokazuje przepaści między potężnymi szkodnikami i bezsilnymi ofiarami, które bogaci ludzie mogą zastraszać, inwigilować i okłamywać na ogromną skalę. Czy wypada nam więc dziwić się, że molestowane kobiety milczały?

Cisza wokół gwałcicieli

Jak wspomniano wcześniej, problem dotyczył nie tylko pojedynczych wpływowych ludzi, jak Weinstein, ale całych korporacji. Np. w latach 2011-2012 NBC nie zawarła z żadnym pracownikiem umowy dotyczącej molestowania seksualnego, ale faktycznie pośredniczyła w zawieraniu umów poufności z co najmniej siedmioma kobietami, które deklarowały, że doświadczyły nękania lub dyskryminacji w firmie w wyniku zgłoszenia molestowania seksualnego. Umowy te wymagały od kobiet zrzeczenia się prawa do wniesienia pozwu w tych sprawach. W większości przypadków kobiety otrzymywały gigantyczne odprawy, jeśli zdecydowały się na załatwienie sprawy polubownie. NBC zatrudniło również Eda Susmanna, speca od czyszczenia Wikipedii, celem usunięcia wszelkich odniesień do „molestowania seksualnego" w tej stacji z encyklopedii społecznościowej. *To jeden z najbardziej rażących i jawnych pokazów twardego korporacyjnego spinu, z jakim się spotkałem w Wikipedii, a wiele już widziałem* – ubolewał jeden z redaktorów tej platformy. Sussman często wygrywał starcia z moderatorami: raz po raz zatwierdzał własne zmiany z zawziętością, w której pracujący bez wynagrodzenia redaktorzy nie mogli mu dorównać. Użył też do tego sieci zaprzyjaźnionych kont użytkowników, aby „wyprać" wprowadzone przez siebie zmiany i upewnić się, że pozostaną tam na zawsze. W kilku hasłach Wikipedii odnoszących się do afer seksualnych i ruchu MeToo zniknęły zupełnie nazwiska znaczących ludzi z NBC, zamieszanych w sprawę molestowania seksualnego, takich jak np. Noah Oppenheim, czy Matt Lauer. Można odnieść wrażenie, że nigdy nic się tam nie wydarzyło.

Tekst powstał na podstawie książki Ronan Farrow, Złap i ukręć łeb. Szpiedzy, kłamstwa i zmowa milczenia wokół gwałcicieli (przeł. Anna Dzierzgowska i Sławomir Królak), Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020.

Bunt kobiet

Zakończenie wszyscy znamy: zaraz po oskarżeniu Harveya Weinsteina narodził się ruch *MeToo* (JaTeż). który wywołał dyskusję na temat molestowania i wykorzystywania seksualnego nie tylko w przemyśle filmowym, ale także muzycznym. Akcja ta odbiła się echem również w środowisku akademickim i politycznym. Instytucje rządowe w Kalifornii, Illinois, Oregonie, Rhode Island odpowiedziały na zarzuty dotyczące molestowania seksualnego, które ujawnione zostały podczas kampanii „metoo". Członkini kongresu Jackie Speier wprowadziła ustawę, która miała ułatwić składanie skarg o molestowanie seksualne do Kongresu Stanów Zjednoczonych. Akcja została rozpowszechniona co najmniej w 85 krajach.

Nadal jednak aktualne pozostaje pytanie, gdzie byliśmy, gdy to wszystko się zaczęło? Jak to się stało, że molestowanie kobiet na taką skalę było możliwe przez tak wiele lat? I czy wprowadziliśmy na tyle silne systemy zabezpieczeń, by problem już nigdy się nie powtórzył?

DWŻ

Rozmowy z kotem

Nasza rzeczywistość jest tak zwariowana, że już chyba nikogo nie dziwi, że na Facebooku gada ze mną mój kot. Jedynie moi znajomi niepokoją się o jego wątrobę, bo na trzeźwo komentować tej rzeczywistości to on nie potrafi.

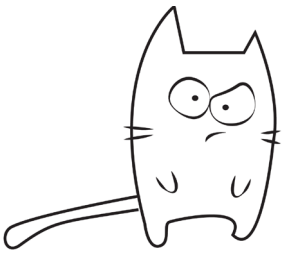

(82)

Koronawirus atakuje coraz mocniej, dług publiczny rośnie, a czym żyje mój Kot? Tym, czym Prezes i minister Ziobro.

– *Pańciu, czytałeś?! Jarosław Kaczyński stwierdził, że musimy postawić tamę przed LGBT, bo pochodzi ono z marksistowskiego lumpenproletariatu, a my musimy krzewić wartości chrześcijańskie!* – zawołał futrzak, wymachując wrześniowym tygodnikiem „Sieci", któremu Prezes udzielił wywiadu.

– Tu farciarzem może okazać się gmina Kraśnik – stwierdziłem – która podtrzymując chrześcijańską uchwałę o strefie wolnej od LGBT, zrezygnowała z 40 mln zł z Funduszy Norweskich.

Kot wytrzeszczył oczka ze zdumienia.

– Bo minister Ziobro ogłosił – kontynuowałem – że gminy, które podjęły taką uchwałę, i zostaną ukarane przez Unię, dostaną rekompensatę z Funduszu Sprawiedliwości. Tuchów już dostał trzy razy więcej niż stracił.

Futrzak nalał sobie do miseczki czegoś mocniejszego, wypił, zamyślił się i nagle go olśniło:

– *Teraz rolnicy powinni swoje pola ogłosić strefami wolnymi od LGBT! Zamiast dopłat unijnych dostaną z Funduszu Sprawiedliwości trzy razy więcej!*

Ale zaraz się zasmucił: – *Uchwały uchwałami a prawo prawem. Jak dotąd policja nie złapała sprawców pobicia poznaniaka z niesłusznie ufarbowanymi włosami czy pobicia dwóch trzymających się za ręce młodych mężczyzn.*

– Tak – potwierdziłem. – Prezes też ma spore zastrzeżenia do pracy policji, dlatego zdecydował się objąć ministerstwo spraw wewnętrznych osobistym nadzorem.

Futrzakowi ulżyło. – *No, to wierzę, że teraz policja szybko tych bandytów złapie* – rzekł i dodał: – *Bo gdyby nie złapała, to komu PiS za to pobicie wręczyłoby nagrodę?*

m

Rys. Włodzimierz Stelmaszczyk

ZET DO ZETA I BĘDZIE GAZETA

Pomóż nam równoważyć rządową propagandę wspierając wydruk pisma, które piąty już rok rozdajemy w całej Polsce! Każda przekazana złotówka idzie na druk kolejnych egzemplarzy. Twoje wsparcie się liczy!

Santander Bank
96 1090 2590 0000 0001 3653 6051
KOMITET SPOŁECZNY BIULETYNU DEKODER
Tytuł wpłaty: Druk DEKODERA

Można dokonać też przelewu online (także PayPal), szczegóły na naszej stronie **dekoder.com.pl**

DEKODER – W OBRONIE DEMOKRACJI
Wydawca: Dorota Wojciechowska-Żuk,
Redaktor naczelny: Maciej Pokrzywa,
Sekretarz redakcji: Elżbieta Majewska-Cieśla,
Korekta: Monika Piotrowska-Marchewa,
Ponadto: Artur, Danuta, Łukasz, Paweł, Tamara.
Adres: ul. Karola Miarki 20/7, 50-306 Wrocław,
dekoder.com.pl, dekoder.redakcja@gmail.com